

## PROLOG

Niech będzie przeklęty przez usta Siedmiu Aniołów, którzy przewodzą przez siedem dni tygodnia, i przez usta tych aniołów, które po nich następują i walczą pod ich sztandarem. Niech będzie przeklęty przez Czterech Aniołów, którzy przewodzą przez cztery pory roku, i przez usta wszystkich tych aniołów, które po nich następują i walczą pod ich sztandarem ... Niech Bóg nigdy nie wybaczy mu jego grzechów. Niech gniew i oburzenie Pana ogarnie go i płonie na jego głowie. Niech wszelkie przekleństwa Księgi Praw spadną na niego. I zapowiadamy Wam, że nikt nie może porozumiewać się z nim ani słowem, ani pismem, ani okazywać mu jakichkolwiek względów, ani przebywać z nim pod jednym dachem, ani zbliżyć się doń na mniej niż cztery łokcie, ani czytać czegokolwiek, co on napisał.

Fragment ekskomuniki wg Richard H. Popkin, Avrum Stroll, Filozofia, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 1994.

Opowieść tę czynię z tego powodu, że się starzeję i nie ukończyłem do tej pory żadnej z planowanych lub też rozpoczętych książek. Poza publikowanymi tu i tam wierszami oraz opowiadaniem, tudzież tekstami kabaretowymi, nie udało mi się, pomimo prób wielu i wielu przyrzeczeń dawanych sobie, oraz niektórym z moich bliskich, wydać dzieła większego niż dziesięć stron maszynopisu.

Niniejszą pracą lukę ową zamierzam wypełnić, albowiem nie chcę umrzeć wszystek i bezimiennie.

Powód drugi, mniej humorystyczny egoistyczny i megalomański jest taki, że rzeczy, miejsca i ludzie, które tutaj opisuję, stanowiły dla mnie w opisywanym czasie centrum wielu głębokich i pięknych, a także tragicznych wzruszeń, które swą siłą i natężeniem przyćmiły niemal wszystko, czego wcześniej doświadczyłem, dzięki czemu odkryć mogłem w sobie samym liczne zasoby uczuć o pokładach i złożoności przedtem mi nieznanych, równie skrajnych w złych, jak i w dobrych aspektach.

Te, zakryte wcześniej przede mną obszary uczuć, z których akceptacją się zmagalem, a których doświadczałem przez blisko rok, podczas realizowania projektu artystycznego pod tytułem Teatr Otwarty, ujawniały się podczas każdej kabaretowo-teatralnej soboty na scenie Teatru Otwartego, a także poza nią i każdego poranka, gdy stawałem przed lustrem, starając się odnaleźć w szkle swoją przedsceniczną twarz, by powrócić do niej jak do znanej i bezpiecznej wyspy pośród fluktuujących dokoła i we mnie emocji i zdarzeń.

Ludzie, których tu opisuję, nie byli i nie są moimi wrogami. Nie są też (poza dwoma może wyjątkami) moimi przyjaciółmi. Stąd nie jest moim celem uchybienie komuś lub wystawienie złego świadectwa, albo przeciwnie – otrzymanie pochlebstwa. Osoby i sytuacje, które czytelnik odnajdzie na kartach tej powieści, „były, jakie były”, to znaczy – były takie, jakimi je wtedy widziałem w ich pięknie, małości, oryginalności i pospolitości. Ludzi przedstawiam takimi, jakimi ich dostrzegałem i jak ich odczuwałem, gdy wchodzili w krąg moich uczuć, zmieniając ich kształt i natężenie w sytuacjach, w jakich ukazywali się w światłach teatralnej i kabaretowej sceny, oraz w tych korelacjach pomiędzy sobą, które były dla mnie w jakiś sposób istotne.

Pisząc historię Teatru Otwartego, czułem jak gdybym starał się w starym lustrze odczytać po latach swoje dawne odbicie, zdejmując delikatnie pyłek po pyłku pokłady wieloletniego kurzu, mając świadomość, że także na wielu z tych odrzucanych drobin, znajdują się fragmenty mojej twarzy. Cóż – niektóre sekwencje minionego czasu trzeba samemu uzupełniać, odgadywać, a następnie ponownie nakładać na szkło do momentu, aż własne odbicie będzie mogło być przez nas rozpoznane.

Życie jest ważne i jest cenne wtedy, gdy nami potrząsa, gdy nas do siebie budzi, wyrывa z samozadowolenia, przeraża i zastanawia. Gdy zmusza do namysłu i weryfikacji lub utwierdza w potrzebie kontynuacji tego, co kiedyś przedsięwzięliśmy, zmuszając do weryfikowania teraźniejszości, poprzez modyfikowanie przyjętych wartości, oraz zmianę odniesień i kontekstów.

Opowieść moja nie jest tylko historią o małym prywatnym szczecińskim teatrze, o jego działalności, scenicznych ekspresjach i pozasce-nicznych perypetiach; o tym, co odbywało się na jego zapleczu; w

garderobie, podczas prób i przygotowań do przedstawień, o jego w pewnym okresie ogromnym powodzeniu i błyskawicznym wzlocie, który okazał się być ostatecznie wzlotem samobójczym.

Historia moja nie jest także tylko opowieścią o mnie, opisującym swoje w Teatrze Otwartym miejsce, jak i miejsce tego teatru we mnie. Owszem, jest tym wszystkim, ale jest ponadto wyznaniem przede mną samą cząstki mojej prywatnej prawdy o mnie samym, którą teraz, po latach wyłuskuję z bólem serca, z radością i z niedowierzeniem.

## SPOTKANIE

Kawiarenka Klubu 13 Muzy była niemal pusta. Przy stoliku od ściany siedziała jedynie jakaś para młodych ludzi pochylonych nad jakąś książką. Usiadłem przy jednym ze stolików przy oknie i zamówiłem butelkę heinekena. Popołudnie było słoneczne, piwo dobrze schłodzone. Czułem się wysmienicie. Byłem wyspany, zrelaksowany, optymistycznie nastawiony do nadchodzącego wieczoru, a przede wszystkim do mającego wkrótce nastąpić spotkania z Bogdanem i Henrykiem. Spojrzałem na zegarek: 16.50. Spotkanie było umówione na 17.00 – miałem więc jeszcze kilka minut. Kilkoma łykami opróżniłem do połowy butelkę i przełożyłem ze stolika na ławę obok siebie teczkę z tekstami, które przygotowałem na spotkanie.

Nie wiedziałem, co Gęsikowskiemu się spodoba, wziąłem więc ze sobą po trochu z różnych półek, a raczej z różnych zakątków dysku swojego peceta po czym wydrukowałem garść pozycji, miksując w jednym pakiecie piosenki liryczne z erotycznymi monologami, skecze z ogłoszeniami drobnymi, a także nieco wierszy oraz grafik, w tym plakaty i rysunki satyryczne. Ze wstępnie przeprowadzonej wcześniej telefonicznej rozmowy z Henrykiem wiedziałem, że sam teatr działa co prawda oficjalnie już od dwóch miesięcy, ale kabaret utworzony w obrębie teatralnej sceny, rozwija dopiero skrzydła i że każda nowa propozycja literacko-sceniczna, może być interesująca.

Teatr – myślałem, patrząc na podwórze wewnątrz budynku, na którego kamiennych płytach kładły się długie smugi światła z dotykającego już dachów domów, zachodzącego słońca. – Teatr z prawdziwą sceną, zapleczem, garderobą, widownią, repertuarem, próbami, twórczymi dyskusjami; teatr gwaru i szmeru widowni, teatr śmiechu, refleksji, skupienia. Kabaret teatralny i teatr z cotygodniowym kabaretem. Piwniczna scena w podziemiach Starówki. Świecowa, stolikowo-lampkowa, zamknięta ceglanymi murami przestrzeń z rampą i z bufetem gdzie kawa i herbata, a w bufecie jakiś alkohol i gdzie – po koncercie – aktorzy mieszają się pospołu z publicznością, aby przy stolikach pytać, zagadywać, gratulować, krytykować, wino

proponować, do siebie przepijać. Przynależeć do takiego miejsca, być w nim współgospodarzem, twórcą, wykonawcą. Uczestniczyć w teatralnym życiu, w formowaniu się tego życia – wnosić tam siebie i wnosić stamtąd atmosferę wspólnej pracy, prób, śmiechu, refleksji i artystycznych planów. A przede wszystkim mieć wreszcie miejsce – stały punkt, dach, dom dla tekstów, które włóczą się po świecie, objijają od ścian małych salek i piwniczek, od miasteczka do miasteczka; to tu, to tam, a najczęściej gdziekolwiek.

– Siemka! Co tak samotnie? Szukasz rymu, czy nie masz się z kim napić? – Przed moim stolikiem stał Płowicki, miejski bard i tekściarz, a przede wszystkim skory do wypitki z każdym i na koszt każdego gaduła.

– Cześć Rico, czekam na kogoś, mam tu zaraz rozmowę – odparłem dość sucho. Płowicki był mi wciąż winny ponad 120 zł z dwóch pożyczek, które zaciągnął u mnie bezpośrednio po występach w Kocie Czarnym Rudym, gdy wracając wspólnie z Teatru Polskiego przez Park Żeromskiego, postanowiliśmy napić się wina na jednej z ławek pod platanem w niecce przed Hotelem Park. Dwa razy piliśmy w późne sobotnie wieczory po występach w Polskim i dwukrotnie na mój koszt. Później, po odbiorze kasy za występy, Rysiek zapomniał o pożyczce, a nagabywany przeze mnie podczas przypadkowego spotkania na Obrońców Stalingradu, gdzie mieszkałem, tłumaczył się nieprzekonująco, że musiał zapłacić zaległy czynsz za pokój, który samotnie wynajmował w suterenie w pobliżu parku Żeromskiego. Teraz też, zamiast z przeproszeniem albo najlepiej z gotówką, wyjeżdżał z propozycją dotrzymania towarzystwa, zapewne w nadziei, że załapie się na lampkę, albo piwo. Jakby nigdy nic, jakby temat zaległej pożyczki nie istniał.

cdn